

TROCHĘ ZA, A TROCHĘ PRZECIWIW (II)

Jerzy J. PARYSEK

Uniwersytet im. A. Mickiewicza w Poznaniu

Wydział Geografii Społeczno-Ekonomicznej i Gospodarki Przestrzennej

e-mail: parysek_jerzy@yahoo.com

ORCID: 0000-0003-0044-6582

PUNKTOZA, PUNKTOLOGIA I PUNKTATORSTWO

Pointosis, pointology and pointination

Rzeczywistość, w jakiej funkcjonuje nauka – także nauki geograficzne (w ich wieczystej przyjaźni podzielone) – przynosi nam pojawienie się nowych pojęć, których zrozumienie wydaje się mieć znaczący wpływ na organizację, strukturę i funkcjonowanie nauki jako systemu społecznego.

Jako politycznie niepoprawny wyznawca reguły franciszkanina Williama Ockhama (1285–1347), filozofa, logika, matematyka, także duchownego, a nawet heretyka, zwanej *brzytwą Ockhama*, podawanej najczęściej w sformułowaniu „nie należy mnożyć bytów ponad potrzebę” lub „nie mnożyć bytów bez potrzeby”, jestem zdecydowanie przeciwny tworzeniu nowych pojęć. Przyjmuję bowiem, że wspomniana *brzytwa* jest, jak to niektórzy uważają, zasadą ekonomii myślenia, zgodnie z którą w wyjaśnianiu zjawisk należy dążyć do prostoty, wybierając drogę postępowania zawierającą jak najmniejszą ilość założeń wstępnych i pojęć. Jednocześnie mam świadomość tego, że cechą współczesnego języka, także naukowego, jest jego żywotność, nieustanny rozwój, w tym ciągle wzbogacanie słownictwa. Ono jednak musi być jednoznaczne i nie może pozostawiać miejsca na domysły i indywidualne interpretacje.

Niestety, w tytule niniejszego eseju zawarte są trzy nowe pojęcia, które – przynajmniej w nawiązaniu do tego, co napisano powyżej – powinny być przede wszystkim dobrze objaśnione czy zinterpretowane. A że nie pozostaje to zgodne z moimi odniesieniami do brata Williama, to nic innego jak wyjątek potwierdzający regułę. Nie mam pewności, kto jest autorem trzech zawartych w tytule tekstu pojęć. Z pojęciem *punktoza*, prawdopodobnie powszechnie ostatnio stosowanym, zetknąłem się w tekście jednego ze znanych polskich psychologów. Nie zdefiniowano tam *punktozy*, chociaż przedstawione zostały jej konsekwencje dla nauki. Autorstwo dwóch pozostałych pojęć nieskromnie przypisuję sobie, choć może jestem w błędzie. Jaka jest zatem moja interpretacja owych pojęć – raczej tradycyjna, konserwatywna, kontrowersyjna, a może bezsensowna? Każde jednak sformułowanie, które wzbudza refleksję, zachęca do myślenia, nawet kiedy jest przedmiotem krytyki oraz wywołuje sprzeciw, uważam za warte fatygi.

Zdefiniowanie i objaśnienie terminu **punktoza** nie jest rzeczą ani łatwą, ani prostą. Poprzez końcówkę „-oza” fonetycznie i semantycznie *punktoza* kojarzy mi się dość jednoznacznie z chorobą,

schorzeniem, niedoskonałością (jak neuroza, toksoplazmoza, borelioza, lordoza, paradontoza itp.). Może nawet z infekcją o epidemicznym przebiegu, bowiem ofiarami punktozy w przedmiocie niniejszego tekstu są polskie środowiska naukowe, a nawet nauka jako całość, przynajmniej ta uprawiana na wyższych uczelniach, choć chyba nie do końca tak jest. Nie jest to wszak infekcja (a tym bardziej epidemia), bowiem pojawiła się w nauce polskiej w tym samym czasie i dotknęła jednocześnie niemal wszystkie środowiska naukowe, co jednak nie nastąpiło przez zainfekowanie, lecz drogą administracyjnego nakazu. Co więcej, odporność osób dotkniętych punktozą okazała się niemal symboliczna, więc praktycznie bez znaczenia. Ponadto punktoza jako odgórnie nakazana, kierowana i sterowana musiała zostać przez środowiska naukowe zaakceptowana, tym bardziej że jest przedstawiana jako to, co ma przynieść wiele dobrego, zarówno dla osób uprawiających naukę (dziś wszystko można uprawiać), jak i dla jednostek organizacyjnych nauki polskiej.

Czym zatem jest *de facto* punktoza? Dla człowieka starej daty, którego edukacja obejmowała także dość specyficznie pojmowaną filozofię, punktoza oznacza po prostu zrozumianą konieczność, a biorąc pod uwagę jej administracyjne źródło pochodzenia, jest propozycją nie do odrzucenia, choć tego rodzaju propozycje mają także specyficzne źródło pochodzenia. Można chyba także przyjąć, że w odniesieniu do osób uprawiających naukę jest, a raczej powinna być – i chyba będzie – stanem świadomości, a dla jednostek naukowych modelem ich funkcjonowania. Co jest zatem celem punktozy? Jako rozumiana konieczność, stan świadomości czy model funkcjonowania ma doprowadzić do rozwoju nauki i podniesienia jej na wyższy poziom. Musi tedy dotyczyć dorobku naukowego konkretnych osób, a dalej jednostek organizacyjnych nauki: laboratoriów, zakładów, katedr, wydziałów, dyscyplin naukowych oraz uczelni jako całości – i dokonywać oceny tego dorobku. Zrozumienie konieczności zaakceptowania punktozy wynika zaś z tego, że ocena dorobku poszczególnych osób i jednostek naukowych warunkuje finansowe zasilanie prowadzonej działalności naukowej, dydaktycznej i organizacyjnej. Nie zatem „byt określa świadomość” (jak mnie kiedyś uczono), ale „świadomość warunkuje byt” – choć jest to w nauce raczej relacja zwrotna, a w pewnym sensie nawet symetryczna. Wspomnianą ocenę dorobku dokonuje się zaś na podstawie punktów, jakie zostały uzyskane w wyniku „wypunktowania” wartości publikacji naukowych. Właśnie decydujące o statusie materialnym jednostek punkty – stanowiące wypadkową udokumentowanej aktywności naukowej – były prawdopodobną przyczyną nazwania punktozą tej rozumianej konieczności i modelu funkcjonowania nauki. Im większa aktywność tym więcej punktów, tym więcej pieniędzy – i wszystko jasne.

Z punktozą ściśle powiązana jest **punktologia**. Co więcej, jako prawdopodobnie nowa dziedzina nauki określa mechanizmy rozwoju i działania punktozy. Konkretnie jest to nauka o punktach, będących podstawą oceny dorobku naukowego poszczególnych osób i potencjału badawczego jednostek nauki – oraz o punktowaniu jako czynności obliczania wartości naukowej. Mówiąc ściśle, o przejściu z jakości (wartość naukowa) do ilości (uzyskane punkty). Punktologię uprawiają gremia uczonych, jednak niekoniecznie entuzjastów punktowania, składające się z demokratycznie wybranych członków specjalistycznych (dla dyscyplin naukowych) zespołów. Zespoły te wspierane są pośrednio przez powiązaną z punktologią grupę uczonych nazywanych prawdopodobnie bibliometrykami czy bibliometrykami (a może bibliometrami?).

Celem osób uprawiających punktologię jest właściwe dokonanie waloryzacji publikacji naukowych na podstawie oceny prezentowanych wartości naukowych. Sensowna i sprawiedliwa realizacja tego celu, sprowadzająca się do porównawczych ocen wartości naukowej ocenianych publikacji, jest praktycznie niemożliwa do wykonania. Wymagałaby bowiem porównania ze sobą, oceny i wyceny ogromnej ilości – często zupełnie nieporównywalnych z różnych względów – prac naukowych (pod względem problematyki, charakteru, zakresu, znaczenia dla dyscypliny, unikatowości, nowatorstwa, objętości, formy publikacji, miejsca publikacji, skali cytowania itp.). W takiej sytuacji trzeba było znaleźć inną drogę realizacji podstawowego celu. Sięgnięto do pojawiających się w bibliometrii rankingów czasopism (tzw. *impact factor*) i wydawnictw naukowych (prestż). Właśnie na tej podstawie dokonano pewnej waloryzacji czasopism i wydawnictw, przypisując

zamieszczonym tam publikacjom odpowiednią liczbę punktów. Oczywiście w grę wchodzi czasopisma, w jakich zamieszczane są prace charakterystyczne dla danej dyscypliny naukowej i jej profilu problemowego. W istniejących warunkach zarówno wybór czasopism oraz wydawnictw, jak i liczba przyznawanych punktów stanowią wyłączenie niewielkich liczbowo grup specjalistów z zakresu punktologii. Innymi słowy, są w sumie wypadkową ocen subiektywnych i uznaniowych członków zespołów – i jako takie rodzić muszą różnego rodzaju wątpliwości. Dotyczą one przede wszystkim tego, jak dokonano wyboru czasopism reprezentatywnych dla danej dyscypliny, jakie to są czasopisma i dlaczego akurat te, w jaki sposób przeliczono wartość naukową publikacji w danym czasopiśmie na punkty, na jakiej podstawie pewnym czasopismom i wydawnictwom przyznano konkretną liczbę punktów itd. Można by na ten temat długo dyskutować i nigdy nie dojść do porozumienia, co oznacza, że ponownie trzeba odwołać się do zrozumianej konieczności.

Mimo że trudno jest przejść z ocen jakościowych (wartość naukowa dzieła) do ilościowych (punkty), o czym już wspomniano, warto zastanowić się nad aktualnie stosowaną punktacją, w której skala punktowa wykorzystuje zmienne dyskretne, odnoszone do specyficjnie pojętej skali porządkowej. Przykładowo: zamiast posługiwać się dziesiątkami czy setkami punktów chyba lepiej byłoby w skali porządkowej przyjąć mniejszą liczbę punktów – np. dla artykułów maksymalnie 25 (porządek wartościujący stanowiłyby punkty: 1, 5, 10, 15, 25) oraz dla monografii maksymalnie 100 (z porządkiem wartościującym: 10, 20, 30, 50, 100). Jestem osobiście zwolennikiem pięciu klas, które narzucają odpowiednie wartościowanie: (1) praca bardzo słaba, (2) słaba, (3) średnia, (4) dobra, (5) bardzo dobra.

Zupełnie inną sprawą jest ustalenie właściwych relacji punktów, jakie można uzyskać za publikacje krajowe i zagraniczne. Z własnego doświadczenia mogę stwierdzić, że tego rodzaju punktowanie – wynikające z punktologii, a dotyczące punktozy – ma jedynie charakter orientacyjny. Utwierdza mnie w tym przeświadczenie, że o wartości naukowej danej publikacji raczej nie przesądza to, gdzie została opublikowana, ale jaki jest jej odbiór, na co niewątpliwie wskazuje liczba cytowań. Mój punkt widzenia pozwoli łatwo zweryfikować lektura liczby cytowań dorobku poszczególnych autorów zawartych w bazie *Google Scholar*. Opowiadam się także za właściwym docenianiem publikacji w polskich czasopismach naukowych i wydawnictwach krajowych. Przecież „Polacy nie gęsi i swój język mają”. Nie chcę się odnosić do dalszych specyficznych przeliczeń punktowych, z których uzyskuje się jakieś wielkości syntetyczne czy sumaryczne, jakie finalnie oceniają dorobek naukowy poszczególnych osób i jednostek naukowych. Nie znam się przecież szczegółowo na zadaniach i pracy specjalistów od punktologii, doceniam trud przez nich podjęty, choć z różnych powodów serdecznie im współczuję. Wiem, że działają w określonych warunkach, a ich sensowny głos jest prawdopodobnie często traktowany jak ewangeliczny „głos wołającego na puszczy”. Ktoś jednak musi wykonać pracę, aby rozwijała się punktoza, a wraz z nią „nauka polska rosła w siłę, a jej ludziom (nauki) żyło się dostatnio” (co w przyjmowanej przeze mnie od 1991 roku hipotezie o warunkach, w jakich funkcjonuje nauka polska, prawdopodobnie nigdy nie nastąpi, przynajmniej nie za mojego życia, co ze względu na mój wiek może napawać pewnym optymizmem).

Stosunkowo najłatwiej jest zdefiniować i opisać **punktatorstwo**. Termin ten brzmi podobnie do punktatorstwa, jednak nie ma żadnego związku z opóźnianiem czegoś, zwlekaniem z wykonaniem, ociąganiem się itp. Wręcz przeciwnie. W moim rozumieniu punktatorstwem jest zespół zachowań i działań, a ich efektem ma być uzyskanie jak największej liczby punktów, pozwalających dobrze usytuować się w punktozie – tak w wymiarze indywidualnym (osoba), jak i zbiorowym (jednostka naukowa). Jeśli uzyskane z oceny działalności naukowej punkty mają być podstawą oceny indywidualnej oraz składać się na ocenę jednostki, w ramach której wykonuje się pracę naukową, wtedy logiczną rzeczą jest dążenie do uzyskania możliwie maksymalnej liczby punktów. Punktatorstwo to zatem ostatni człon sekwencji tworzonej przez:

- (1) punktozę – będąca celem działania,
- (2) punktologię – umożliwiającą wypunktowanie dorobku naukowego oraz
- (3) punktatorstwo – wskazujące drogi realizacji tego celu, jakim jest zdobywanie punktów.

Wiele dróg prowadzi do realizacji tego celu i różne mogą być zachowania osób i jednostek. Generalnie wynika to z zasad racjonalnego działania, które mieszczą się w przedziale pomiędzy maksymalizacją efektów a minimalizacją nakładów. Droga maksymalizacji efektów obejmować będzie poszukiwanie możliwości opublikowania w stosunkowo licznych miejscach (czasopismach, monografiach) dużej liczby artykułów. Chodzi o uzyskanie pewnego efektu sumarycznego. Nie liczy się wtedy specjalnie, co i gdzie się publikuje, gdyż przede wszystkim chodzi o to, aby uzyskać możliwie maksymalną liczbę punktów. Generalnie wybiera się takie czasopisma, w jakich stosunkowo łatwo opublikować nadesłane artykuły, choć za niewielką liczbę punktów. Droga minimalizacji nakładów polega natomiast na poszukiwaniu takich łamów, na których publikując swoje prace, uzyskać można z góry określoną liczbę punktów. Jednostkowy efekt takich podejść może być tego rodzaju, że w pierwszym przypadku pojawia się szansa uzyskania punktów z publikacji większej liczby prac w niżej punktowanych czasopismach, a w drugim nadarza się sposobność opublikowania jednej-dwóch prac w czasopismach bardziej punktowo docenianych. Przy jednym i drugim podejściu suma punktów może być oczywiście taka sama. Niestety, na etapie przygotowywania publikacji jest to zawsze jedynie ocena szansy oraz nadzieja na pozytywny efekt. A ten bywa wypadkową wielu czynników. Do tego dochodzą jeszcze finansowe uwarunkowania sukcesu, o czym później i nieco więcej.

Wydaje się, że wchodząc na drogę punktatorstwa często odwraca się logikę działalności naukowej. Nie zawsze bowiem chodzi o opublikowanie tekstu będącego efektem ugruntowanych zainteresowań naukowych, lecz tekstu, który dobrze dopasować można do profilu konkretnego czasopisma. Innymi słowy, pisze się artykuł na „niesformalizowane zamówienie”. Dowodów na tego rodzaju postępowanie dostarcza liczne pokolenie młodych geografów (w tym przypadku społeczno-ekonomicznych), specjalistów od niemal wszystkiego, o czym zaświadcza ich różnorodny problemowo dorobek publikacyjny. Przyjęciu tego rodzaju drogi zdobywania punktów sprzyja pewność siebie przy jednoczesnym niedostatku wiedzy z zakresu teorii i metodologii oraz braku specjalizacji problemowej, przy braku dystansu do posiadanej wiedzy oraz własnych dokonań – co przynosi różne efekty. Warto próbować, może się uda, a chodzi przecież o punkty... i tylko punkty.

Często praktykowanym przejawem punktatorstwa jest wysyłanie tego samego tekstu pod różnymi tytułami do różnych czasopism, zwłaszcza zagranicznych, z nadzieją, że może gdzieś przyjmą i opublikują nadesłany tekst. Czasami przyjmą dobry tekst z uwagi na jego wartość naukową, jednak nierzadko o sukcesie przesądzi nie sama wartość tekstu, lecz niesolidność i nieodpowiedzialność recenzentów, piszących – jak to nazywam – *airport review* (tekst przygotowywany w holu lotniczego portu przesiadkowego), co gruntuje wspomnianą pewność siebie autorów i własnej mądrości. Niekiedy – albo raczej często – recenzenci nie przyjmą wszelako tekstu zgłaszając standardowe zarzuty: brak najnowszych pozycji literaturowych oraz niepoprawny językowo tekst – i wtedy można mówić o pechu, bo jak tu dyskutować, kiedy nie ma o czym.

Dużą liczbę punktów można uzyskiwać w ramach organizowanych „spółdzielni pracy naukowej”, jak taki proceder nazwał przywołany przeze mnie bezimiennie autor tekstu, z którego zaczerpnąłem termin punktoza. Najlepiej sprawdzają się trójki autorskie, działające jednak nieco inaczej od znanych z lat powojennych „trójek murarskich”. Zbiera się zatem trójka potencjalnych autorów, każdy z osobna przygotowuje swoją publikację, a tę następnie przekazuje się do wydawnictwa (redakcji) jako pracę współautorską tej trójki. Tego rodzaju postępowanie nie tylko maksymalizuje efekt punktowy, ale także powiększa dorobek naukowy oceniany przy innych okazjach oraz prowadzi do uzyskania rezerw czasowych, jakie można przeznaczyć na inne cele. To niby nic zdroźnego, zwłaszcza kiedy przyjmuje się, że „cel uświęca środki” lub „to nie ja wymyśliłem punktozę”, choć trochę zahacza o sferę etyki pracy naukowej. To się jednak opłaca, kiedy w punktozie uwzględnia się kryteria ilościowe (punkty), a nie jakościowe (cytowania). Dość dużo wprawdzie drobnych punktów dostarczają publikacje tekstów w wydawnictwach pokonferencyjnych, często nawet bez uczestnictwa w samej konferencji, bez wygłoszenia referatu, a jedynie po wniesieniu opłaty konferencyjnej i nadesłaniu tekstu.

Innym przejawem punktatorstwa są opracowywane scenariusze taktyki publikacyjnej, których celem jest wskazanie dróg uzyskania maksymalnej liczby punktów przy minimalnym nakładzie. Często w takich przypadkach kryterium wyboru i działania jest to, „gdzie najlepiej publikować?”, a nie „co publikować?” oraz „w jakiej formie i w jakiej objętości przygotować tekst?”. Jeszcze innym przejawem punktatorstwa jest publikowanie tego samego tekstu w języku polskim w czasopiśmie krajowym oraz w języku obcym (najczęściej angielskim) w innym polskim lub zagranicznym wydawnictwie. Efektem tego może być podwójne wypunktowanie tego samego artykułu. Ponadto tekst obcojęzyczny – zwłaszcza anglojęzyczny – przyjęło się zawsze wyżej punktować niżli napisany w języku ojczystym. Niestety, takie warunki uprawiania nauki wymuszają punktoza. Niełatwo je spełnić w sytuacji, w której chętnych do publikowania jest wielu, a czasopism przypisanych do danej dyscypliny stosunkowo mało. Co więcej, zestawienie popytu na publikowanie z podażą miejsc publikacji nabiera wymiaru międzynarodowego, co ma szczególne znaczenie, kiedy w grę wchodzi wysoko punktowane czasopisma zagraniczne. W coraz większym stopniu ma to także wymiar finansowy.

I tutaj wracam do mojego wielokrotnie prezentowanego punktu widzenia, który powtórzę. Powszechnie przyjmuje się, że „gdymie wiadomo o co chodzi, to chodzi o pieniądze”. Ale to nie jest prawda. Zawsze chodzi o pieniądze, odkąd istnieje i funkcjonuje na świecie system towarowo-pięniężny. W związku z punktozą daje to silnie znać o sobie w sytuacji publikacyjnego niebilansowania popytu i podaży. Prawda jest taka, że aby dzisiaj zdobywać punkty trzeba mieć pieniądze. Były kiedyś takie czasy, kiedy publikowanie przynosiło autorom publikacji materialne profity, nazywane honorariami autorskimi. Aktualnie sytuacja z dawnych, minionych lat uległa odwróceniu o 180 stopni. Coraz więcej czasopism pobiera często niemałe opłaty za publikowanie nadsyłanych prac, a także za ich *on-line*owe udostępnienie. Pieniądże trzeba mieć także na to, aby promować na rynku wydawniczym własne wydawnictwa. Bez pieniędzy trudno też będzie profesjonalnie przygotować anglojęzyczny tekst, zwłaszcza kiedy przede wszystkim język jest postawą „merytorycznej” oceny wartości naukowej nadesłanego tekstu (odsetek durniów mówiących danym językiem jest prawdopodobnie w każdym języku podobny).

Pieniądże są wreszcie, a może przede wszystkim, potrzebne na prowadzenie badań naukowych – i tutaj znowu pojawia się problem punktów, niemal decydujących o przyznaniu grantu, bez czego trudno podjąć zadania badawcze zakrojone na skalę większą od referatu na konferencję krajową. W ten sposób dochodzimy do kolejnego przysłowia, prawdy czy zasady gospodarki finansowo-pięniężnej, że „pieniądz rodzi pieniądz”. W interesującej nas sytuacji pieniądze przeznaczone na badania i publikacje finalnie przynoszą punkty, które odpowiednio przeliczone, zwrótnie przynoszą pieniądze na funkcjonowanie placówki naukowej, a w ramach jej finansów powstają publikacje, niezbędne dla uruchomienia punktatorstwa, czego efektem są punkty przeliczone na pieniądze... itd.

Niestety „taki mamy klimat”, jak mawiała jedna z wysoko postawionych reprezentantek władz państwowych, a następnie unijnych, a my (jako ludzkość) póki co nadal nie bardzo potrafimy wpływać na klimat, zwłaszcza w pozytywnym sensie (choć był taki kraj, w którym człowiek zmieniał oblicze przyrody, z klimatem włącznie, ale to było dawno, a czy prawda, tego tak na 100% nie wiemy). Trwajmy zatem w punktozie i powoli wchodzimy w fazę populacyjnej – a może lepiej stadnej – na nią odporności, czego wszystkim pracującym na etatach w nauce życzę. Dobre usadowienie się w punktozie obok pieniędzy, daje także *ś w i ę t y s p o k ó j*, tak bardzo potrzebny w pracy naukowej, choć różnie może być ten spokój interpretowany.

Aby jednak nie kończyć tak smutno: stare przysłowia były i są mądrością narodów. A zatem „cel ciągle uświęca środki”, „potrzeba jest nadal matką wynalazków”, a „Polak potrafi”. I niech tak będzie.